

EWA ZADRZYŃSKA-GŁOWACKA

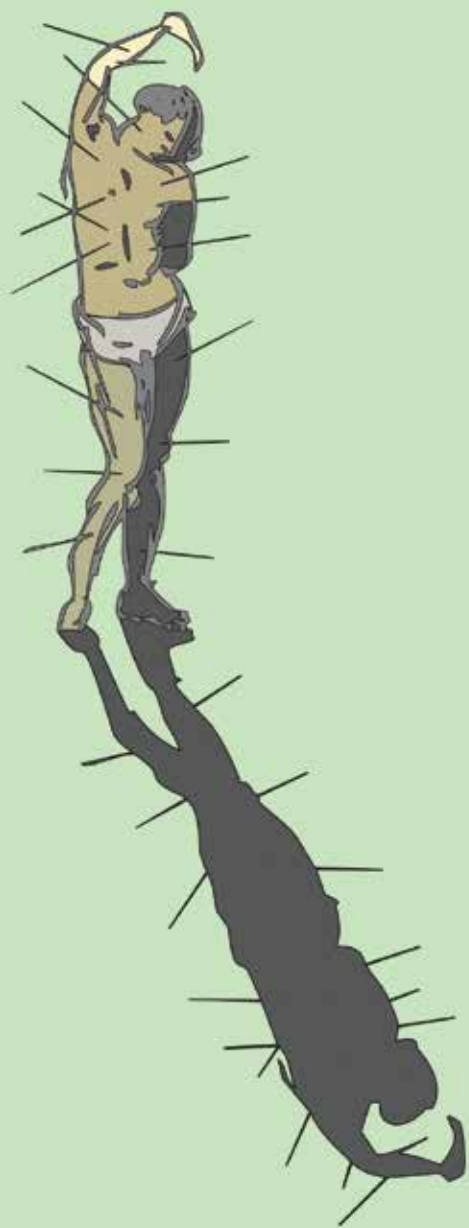
GŁOWACCY
ARKA NA MANHATTANIE

MARGINESY

Copyright © 2022 by Ewa Zadrzyńska-Głowacka
Autorkę reprezentuje Agencja Literacka Book/lab w Warszawie
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

*Januszowi Głowackiemu,
najlepszeemu byłemu mężowi na świecie*

Ewa ZG



WSTĘP

Pierwsi Europejczycy zjawili się na Manhattanie w 1609 roku, ja – trzysta siedemdziesiąt cztery lata później. W jednej ręce walizka, w drugiej córeczka Zuzanka.

Janusz Głowacki, tata Zuzy, czekał na lotnisku Johna Fitzgeralda Kennedy’ego (JFK).

Od tego czasu, z małymi przerwami, już tu jestem. Janusz i Zuza też, trochę tu, trochę tam, czasami razem, czasami oddzielnie.

Teraz Janusz pomiędzy Polską a USA, gdzieś nad Atlantykiem, niezależny i nieuchwytny, jak zawsze. Zuza w Warszawie. Ja na Manhattanie.

A pode mną niezmiennie od wieków – łupki manhattańskie, marmury inwoodzkie i jeszcze jedna skała zwana Fordham Gneiss.

Dla mnie to ważna informacja, bo lubię wiedzieć, na czym stoję.

Od trzydziestu lat mieszkam na północno-zachodnim Manhattanie, nad Hudsonem, moją ukochaną numer dwa, zaraz po Wiśle, rzeką.

Wyspa Manhattan ma kształt Statuy Wolności, co zauważył Andrzej Czeczot, a ze światem łączy ją ponad dwadzieścia mostów. Z lotu ptaka mosty łączące Damę Wolności z większymi wyspami – Queens, Brooklynem – i z lądem – Bronksem – przypominają strzały wbite w ciało świętego Sebastiana. Pozornie absurdalne skojarzenie nabiera sensu, kiedy pomyśli się o cierpieniu rdzennych Amerykanów, którzy niegdyś zamieszkiwali wyspę.

Z lotniska JFK – ci z góry miasta – wjeżdżają tu przez Triborough Bridge i łądują w okolicach serca Damy Wolności. Ci, którzy mieszkają w środku miasta, przez Midtown Tunnel wpadają na wysokości lewego kolana. Można też przekroczyć rzekę, wybierając dziewiętnastowieczny most – most Brookliński – i znaleźć się na samym dole, u stóp Manhattanu.

Nasze pierwsze mieszkanie na Washington Heights znajdowało się niedaleko pochodni Damy Wolności, potem mieszkaliśmy w połowie łydki, a teraz w okolicach jej prawego płuca.

Kiedy w Polsce Sejm Wielki zatwierdził Konstytucję 3 maja, na Upper West Side biali osadnicy – nowi Amerykanie – polowali na niedźwiedzie, jaguary, lisy, pozwalając łaskawie – od czasu do czasu – korzystać z bogactwa lasów niedobitkom tubylców, których własna delikatność, kultura i naiwność zmieniły z prawowitych właścicieli w gorszy sort.

Kiedy w Polsce przygotowywano powstanie listopadowe, polowań było coraz mniej i coraz mniej było rdzennych mieszkańców wyspy. W moich okolicach zaczęły pojawiać się letnie domki, ogrody, farmy warzywne, a wśród nich kilka rezydencji.

Jelenie, niedźwiedzie i sokoły zostały wyparte przez krowy, świnię i kury.

Kiedy w Europie szalała Wiosna Ludów, z pękającego w szwach dołu miasta co bardziej energiczne osobniki skupowały działki na górze Manhattanu.

Zaczęto wycinać lasy, burzyć pagórki i wrzucać je do jezior, jednym słowem: przygotowywano teren pod budowę.

Na początku dwudziestego wieku wybudowano metro, które połączyło głowę Damy Wolności z jej stopami i w ten sposób, od pasa w górę, zaczęto budować i spekulować, bogacić się albo biednieć.

I właśnie podczas kulminacji tego boomu, w 1926 roku, postawiono – na prawej piersi Damy Wolności – solidny budynek

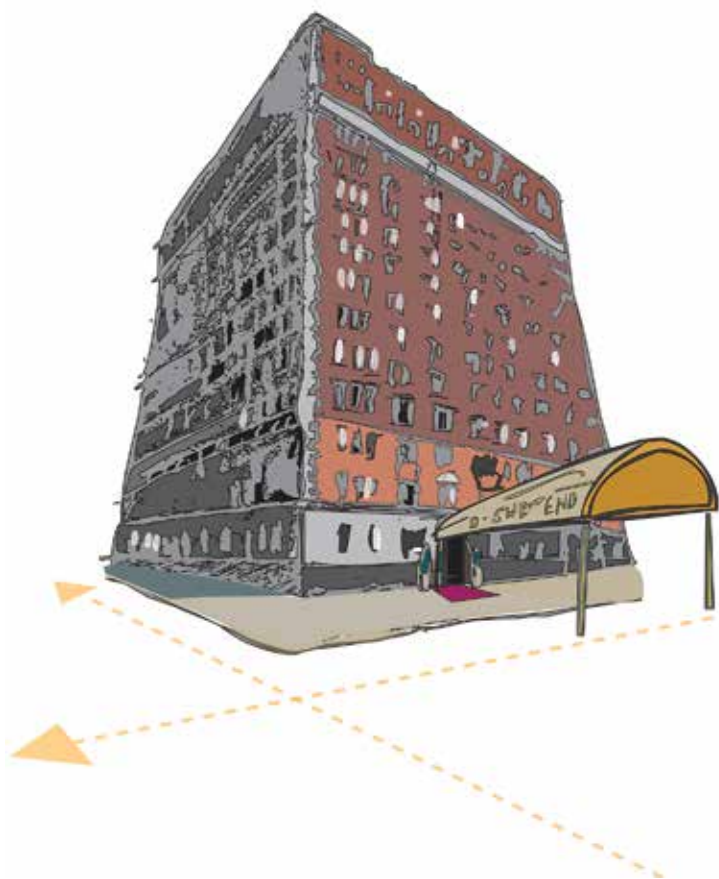
z holem o marmurowych ścianach, z lustrami i windami art déco.
Nadano mu adres: 845 West End Avenue.

Mieszkam więc na szczycie pagórka, którego nie dało się wyrównać.



845

WEST END
avenue

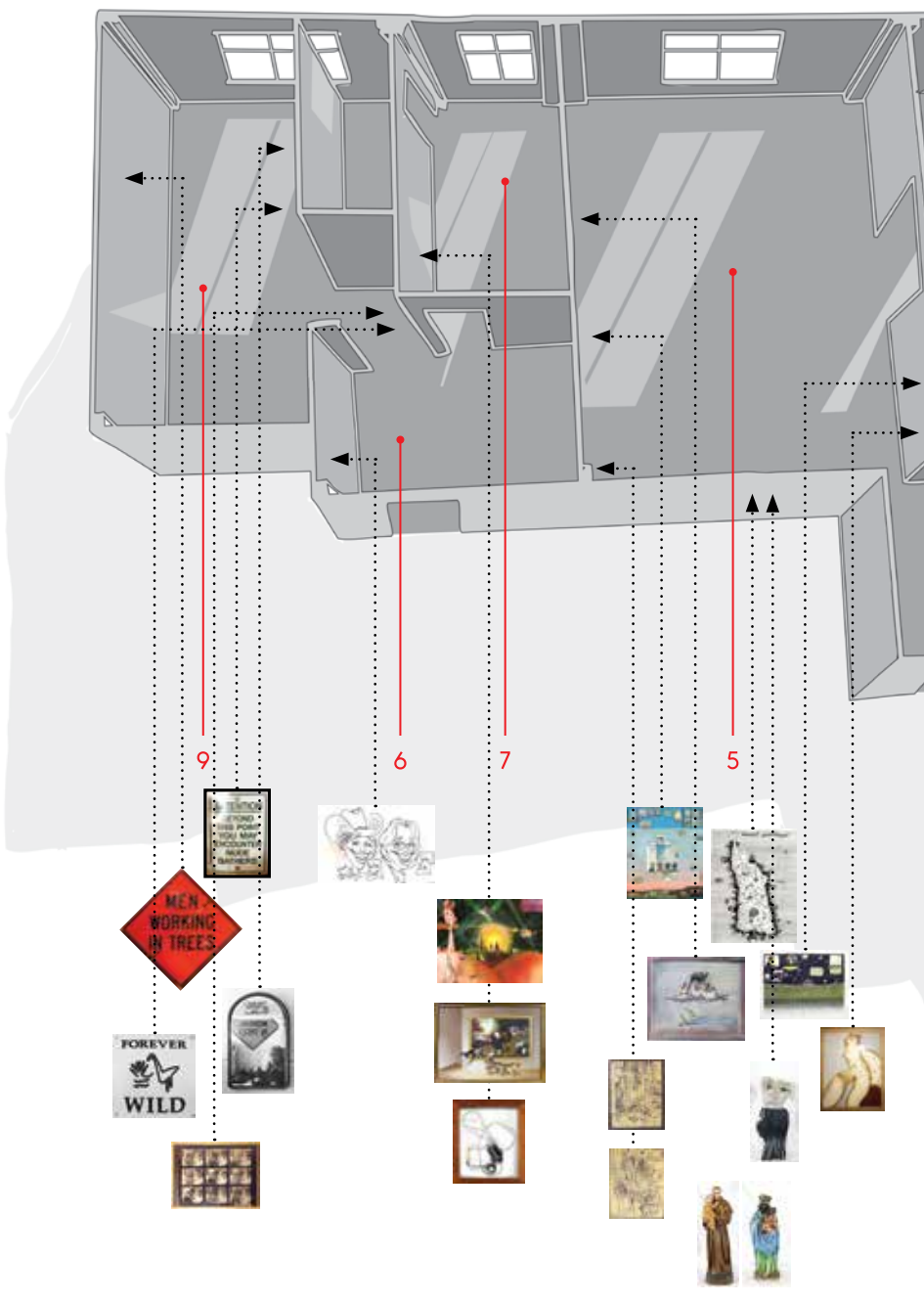


*Domy przechowują nasze wspomnienia, we wnękach i zakamarkach,
na strychach i w piwnicach, w szufladach i na półkach.*

(GASTON BACHELARD,
THE POETICS OF SPACE)

No i w obrazach.

(E Z G)

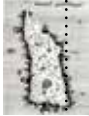


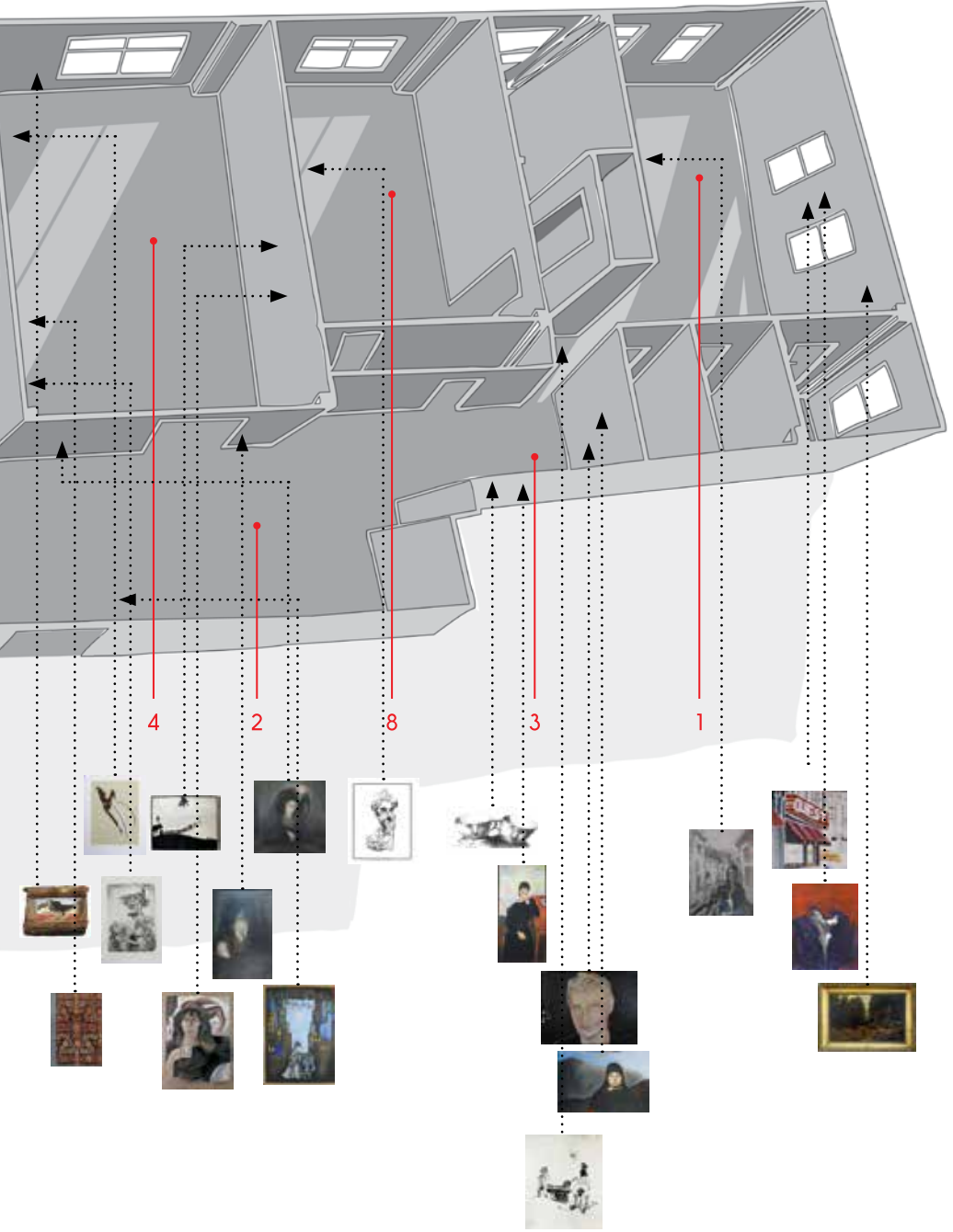
9

6

7

5





4

2

8

3

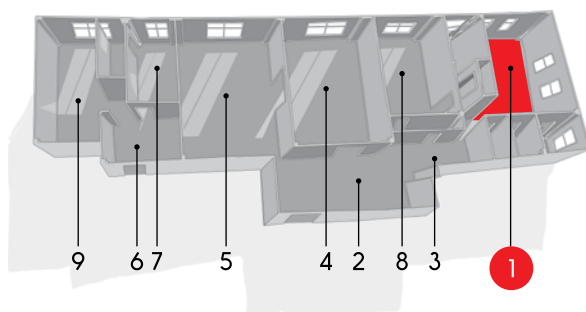
1



ROZDZIAŁ 1

MÓJ POKÓJ

Galeria nr 1



Mój pokój ma cztery okna: dwa wychodzą na wschód, dwa na południe. Pokój ten ma czworo drzwi, tej samej wysokości i szerokości. Drzwi wejściowe z korytarza do pokoju (ściana północna) i drzwi do łazienki (ściana zachodnia) – są identyczne, drewniane z jednym panelem. Drzwi do dwóch *walk-in closets*, czyli szaf, które są minipokoikami z oświetleniem, mają zamiast paneli lustra. Tego typu garderoby to standard solidnych, budowanych sto lat temu nowojorskich kamienic. Ci, którzy widzieli film *Dziecko Rosemary*, będą wiedzieli, o czym mówię. Właśnie z takiej garderoby cieszyła się Mia Farrow – pod dyktando Polańskiego oglądając mieszkanie w Dakocie, przy Central Park West i Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, piętnaście minut spacerem ode mnie.

Kiedyś to była nasza małżeńska sypialnia, potem – pokój Janusza Głowackiego, mojego byłego męża, później zamieszkała tu nasza córka Zuzanna Głowacka. Ale teraz to już mój pokój.

Budzę się, patrząc na grafikę upamiętniającą mój ulubiony bar na Upper West Side: Owest. Widać na niej kawałek budynku przy Broadwayu, czerwony samochód zaparkowany na Osiedzi Czwartej Ulicy, dwie przecznice od nowojorskiego mieszkania Isaaca Bashevisa Singera. Wejście do baru z dużą czerwoną markizą i jeszcze większym szyldem umieszczonym tuż nad markizą jest punktem centralnym kompozycji. Pięć radosnych czerwonych liter – O, U, E, S, T – zaprasza przechodniów na drinka. Zaprasza wesółych i smutnych. Ludzi sukcesu i tych, którzy o sukcesie marzą, albo i nie. Kobiety i mężczyźni, samotni albo po słowie – wszyscy są mile widziani.

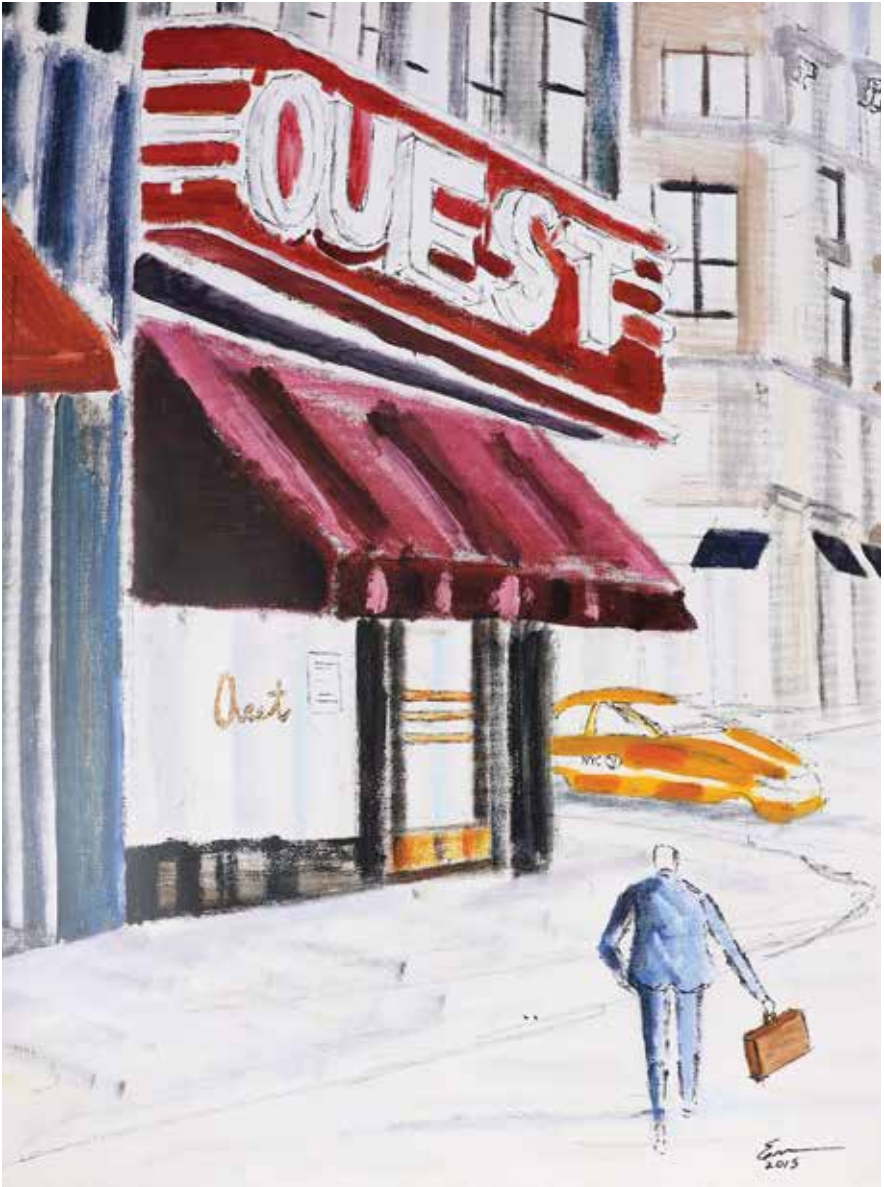
Bar koi i zimą, i latem, i wiosną, i jesienią – mówią bywalcy.

Na grafice chodnik na Broadwayu jest pokryty śniegiem. Na pierwszym planie widzimy wymachującego teczką mężczyznę. Wygląda, jakby kulił się z zimna, zapomniał albo nie zdążył włożyć jesionki. „Jesionka” to słowo staromodne, ale pasuje do teczki i do tego nieco antycznego przechodnia. Skusi się ten staromodny ze stron „New Yorkera” lat sześćdziesiątych człowieczek czy się nie skusi? Jego ulubiony *gin and tonic* jest tuż-tuż. Chyba się skusi.

Widziałam moment, kiedy ta grafika powstawała. Wracalam z Moniką Markowicz, przyjaciółką moją i Janusza, z Barnes & Noble, które jak na wymierające zjawisko o nazwie księgarnia trzyma się dobrze i od lat zajmuje te same dwa piętra przy rogu Osiedzi Czwartej Drugiej Ulicy i Broadwayu.

Szłyśmy do mnie, w górę miasta, do Sto Pierwszej Ulicy. Ja patrzyłam w lewo, Monika w prawo.

– O, zobacz. – Monika wskazała na sztalugi. – On maluje wejście do tego baru.



To ona zauważyła Enrico Miguela Thomasa szkicującego, jak się okazało, pożegnalny obraz ulubionego baru dziennikarzy, pisarzy, artystów udanych i mniej udanych, biznesmenów i rozmarzonych kobiet w różnym wieku.

To był kwiecień 2015 roku i spadł śnieg, ale świeciło słońce zupełnie jak na Krupówkach w czasach mojego dzieciństwa.

– W tym barze często bywam – powiedziałam.

Tak naprawdę byłam tu może dwadzieścia razy, ale można powiedzieć, że te dwadzieścia razy to „często”, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że był to jedyny bar na Manhattanie, do którego wpadałam, i jedyny, gdzie barmani potrafili poprawnie napisać moje imię. Nie *Ava* albo *Eve*, tylko tak, jak mam w nadwiślańskiej metryce, po prostu *Ewa*.

Pierwszy raz odwiedziłam nowojorski bar z Johnem Darnotem po tym, jak dzięki niemu dostałam pracę w „New York Timesie”.

Ale to było na Czterdziestej Trzeciej Ulicy, vis-à-vis dawnego budynku gazety. To była taka stara knajpa, a właściwie *dive*, czyli speluna, gdzie można było palić i gdzie bywali od lat czterdziestych dziennikarze „New York Timesa”. Atmosfera z opowiadań Tennessee Williamsa, Chandlera i klasyki amerykańskiego kina, jednym słowem: fantastyczne dialogi i lepszy świat. Potem bar zamknięto, wielu dziennikarzy, którzy mieszkają na Upper West Side, przeniosło się do Owest, a wraz z nimi smaczne dialogi i opowieści.

Idąc Broadwayem z Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy w dół miasta, do Zabar’s albo Barnes & Noble, latami przechodziłam obok Owest, wspominając moją pierwszą wizytę w barze nowojorskim i złudną nadzieję, że legitymacja „New York Timesa” jest przepustką do lepszego świata.

Owest zamknięto w czerwcu 2015 roku. Na pożegnalnym bankiecie sprzedawano odbitki grafiki, której narodziny obserwowałam

dwa miesiące wcześniej. Dochód ze sprzedaży podzielono między kelnerów, barmanów, kucharzy, kucharki, którzy zostali bez zatrudnienia.

Grafika *Ouest* wisi na ścianie pomiędzy dwoma oknami wychodzącymi na południe.

Nad grafiką – abstrakcyjny erotyk, który Janusz dostał od Alicji Wahl na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy zaczął coraz częściej i intensywniej kursować pomiędzy Polską a USA. (Podróżował tak często, że w eseju dla „New York Timesa” napisał, że sam nie wie, gdzie jego miejsce: „Najczęściej gdzieś pomiędzy USA a Polską, bujam się w obłokach”).





Na pierwszy rzut oka spostrzegłam czarno-czerwoną z białymi elementami kompozycję, bez większego sensu i znaczenia. Rodzaj malarstwa, który zawsze mnie peszy.

Nie zauważyłam pary uprawiającej miłość. Ich sylwetki, sklejone w dolnych partiach w oszalałym pożądaniu, a w górnych od siebie w zawstydzeniu odchylone, tworzą kształt serca. Są w sobie bez pamięci zanurzeni, ale nie ma tu czułości; jest tylko żądza. Mężczyzna przyciąga kobietę do siebie, bo tak mu dyktuje pożądanie, a nie serce. Nie mają twarzy, głowy zniknęły w czerwonej mgle.

Akt sprowadzony jest do animalistycznej wersji miłości. Kochankowie stracili głowy i rozum – dla siebie i dla świata. Może się nawet nie znają?

Zobaczyłam to wszystko dopiero po jakimś czasie i przy pomocy Janusza.

To obraz o tęsknocie za miłością albo o tym, jak pożądanie ją unieemożliwia. Ciekawe, czy Luśka Wahl to właśnie miała na myśli. Boję się, że nigdy nie będę miała szansy się dowiedzieć. Jest chora.

Co rano, budząc się, patrzę na nowojorski Ouest i uniwersalne, bez adresu – *Pożądanie* Alicji Wahl. Tytuł wymyśliłam ja, ale jestem pewna, że Luśka by się na niego zgodziła.

Na lewo na mosiężnym haku w złotych grubych ramach przypominających ramy jedyne go oryginalnego obrazu, jaki moi rodzice mieli w Warszawie, wisi niedokończony koślawy obraz olejny, mroczny las.

Mroczny las nieznanego dziewiętnastowiecznego niemieckiego malarza – kupiłam za trzysta dolarów od sąsiadów, a dokładniej od ich wnuków.

Gdy trzydzieści lat temu wprowadzaliśmy się do lokalu 4b, obok nas mieszkał emerytowany kantor z synagogi na Setnej Ulicy z żoną, oboje dobrze po osiemdziesiątce.

Kiedy przypadkowo spotykałam ich w windzie albo w lobby o marmurowych podłogach i ścianach, rozmawiali nie o giełdzie i inwestycjach – rozmawiali o najnowszej premierze w operze albo o koncercie w Carnegie Hall.

Z czasem stawali się coraz słabsi. Wyglądając przez okno, często widziałam, jak pochyleni ku sobie, podpierając się głowami, by utrzymać równowagę, kroczą West End Avenue w stronę Lincoln Center. Dzięki tej dziwacznej symbiotycznej figurze bez trudu wygrywali z siłami grawitacji. W pojedynkę skazani byli na upadek.

Codziennie już od siódmej rano zza ich drzwi dochodził zapach kawy.

– Żyją – mówił Janusz.

– Żyją – uspokajałam się, wdychając opary kawy Illy.

Jest kawa – jest życie.

Po kulturalnych sąsiadach w starszym wieku zostało wspomnienie porannej kawy i ten ponury las. No i jeszcze coś.

Według Simona Schamy lasy to krajobraz narodowy Niemiec. Znam lasy z obrazów Caspara Davida Friedricha i Anselma Kiefera, ale ten las, chociaż namalowany przez Niemca, jak zapewnił mnie wnuczek kantora, nie miał z nimi nic wspólnego.

Ten las przypomina mi lasy mojego dzieciństwa.

Obraz jest niedokończony. Las nieco zyskał, kiedy moja siostra, Danuta Antoniszczak, absolwentka krakowskiej ASP, wymyła go ostrożnie wacikami zamoczonymi w roztworze wodnym delikatnych płatków mydlanych.

Jednak nadal czegoś tu brakuje – symetrii lub asymetrii, koncepcji lub kompletnego braku koncepcji.

Ale ile razy na niego patrzę, myślę o moim tacie i lasach pod Wyszkwowem.

Każdej jesieni jeździliśmy z tatą w jego rodzinne strony na grzybobranie. Tata, warszawiak z dziada pradziada, pierwsze lata życia spędził w Wyszkwowie, gdzie rodzice schronili się podczas pierwszej wojny światowej.

I okolice te znał na pamięć. Po latach z zamkniętymi oczami trafiał do najbardziej grzybowych miejsc. Wiedziony instynktem albo pamięcią odnajdywał pachnące mchem i rosą tereny, gdzie wystarczyło kucnąć i już koszyk pełny. Pamiętam, jak wzrokiem podpowiadał mi, w którą stronę iść, bym w zawodach o to, kto zbierze najwięcej grzybów, zajęła jak co roku pierwsze miejsce.

Oboje wiedzieliśmy, że to była gra niezupełnie fair, ale kiedy okazywało się, że mam szczęście i że znowu wygrałam, z radości przetykałam tę niewygodną tajemnicę.

Poznawałam smak zwycięstwa i wiarę, że opatrność jest po mojej stronie.

Przekonanie, że mam szczęście, podtrzymywało mnie na duchu i dodawało odwagi przez całe życie. Nic nie szkodzi, że to szczęście często było nieco naciągane i w obiektywnej ocenie niezupełnie takie szczęśliwe, liczą się samopoczucie i wiara w życzliwość losu.

Znowu wszystkie prawdziwki znalazła najmłodsza i najmniejsza – ja.

Nigdy się tego obrazu nie pozbędę.

Z tym obrazem jest jak z moim szczęściem – sprawa do dyskusji.

Wyrafinowane oko Janusza nie pozwoliło na przyjęcie pokracznego lasu do naszej kolekcji. Rozumiał moje emocjonalne skojarzenia, znalazł więc taktowne rozwiązanie. Płótno delikatnie spakował i schował za komodę do czasu, aż znajdzie się odpowiednie miejsce.

Nie miałam nic przeciwko temu. Ale teraz obraz rozpakowałam i powiesiłam nad stołem, przy którym Janusz kiedyś pracował.

Pewnej nocy – a było to w czasach zapachu porannej kawy pani kantorowej – za grubą, solidną ścianą dzielącą nasze mieszkania rozległy się głośne krzyki.



Duet – głos męski i głos żeński. Zrozumieć można było tylko jedno słowo: „NO”, wykrzykiwane w różnej tonacji o różnym natężeniu rozpacz. Krzyczał mężczyzna i krzyczała kobieta. Nagle głos męski zamilkł i pozostało wycie zranionego zwierzęcia, samicy – bo był to krzyk pani kantorowej: „NOOOOOOOO”.

Wyrwani ze snu spojrzeliśmy z Januszem na siebie: wzywać policję? A może ambulans? Może zadzwonić do nocnego portiera?

Wtrącać się w cudze życie nie wypada, więc Janusz przewrócił się na drugi bok i usnął, a ja pomyślałam, że jednak nie jest to tak idealne małżeństwo, jak mi się wydawało. W wyobraźni widziałam sąsiada, który pakuje walizki, oznajmia, że ma młodszą, ładniejszą, bogatszą.

Do widzenia, koniec, walizka w ręku (*czemadan w rukię*), pan kantor z młodą kochanką zatrząskują drzwiami.

Krzyk albo raczej zawodzenie nadal trwa. Skąd ta siła w drobnej, ledwo trzymającej się na nogach prawie dziewięćdziesięcioletniej kobiecie?

Dowiem się nazajutrz.

Tej nocy, tuż za ścianą naszej sypialni zmarł na zawał serca mieszkający w Tel Awiwie sześćdziesięcioletni syn naszych sąsiadów. Od lat współpracował z Metropolitan Opera i przyjechał służbowo, dosłownie na trzy dni. Tak jak miał w zwyczaju, i tym razem zatrzymał się u rodziców.

Po kilku dniach spotkałam kantora w windzie. Był sam – równowagę utrzymywał dzięki dębowej lasce. Pamiętam miłą kulturalną twarz i błyszczące zza okularów oczy. W ręce trzymał wycinek z „New York Timesa”.

„To o moim synu”. Pokazał mi z lekką dumą nagłówek nekrologu: „Agent reprezentujący izraelskie gwiazdy operowe zmarł nagle w Manhattanie na zawał serca”. „To niesprawiedliwe, żeby dzieci umierały przed rodzicami” – wyszeptał kantor z apartamentu 4c.

Chciałam go przytulić, ale się powstrzymałam. Nie przytula się dziewięćdziesięcioletnich sąsiadów w windzie pomiędzy trzecim a czwartym piętrem na West End Avenue w New York City.

„Doormeni” wiedzą wszystko. A ci urodzeni w ZSRR wiedzą nawet więcej. Od Igora usłyszałam, że żona kantora, mama agenta muzycznego, źle zainwestowała swoje i syna pieniądze. Wszystko straciła. Trzymała to w tajemnicy przez dwa lata. W końcu, gdy syn zjawił się na otwarcie nowego sezonu operowego – przyznała się.

Syn najpierw dostał szału, a zaraz potem zawału i zmarł na miejscu, tuż za naszą ścianą.

Krzyk, który nas obudził, to był krzyk osoby, która zabiła swoje dziecko. Gorzej niż w tragedii greckiej. Tam bohaterowie nie mieli wyboru. Cokolwiek by zrobili, będzie zawsze źle. Żona kantora miała wybór. Podjęła decyzję, która zamiast przynieść spokój i szczęście – przyniosła śmierć.

Moja pierwsza myśl, że kantor postanowił opuścić małżonkę, wydała mi się niestosownie banalna.

Pani kantorowej już nigdy nie zobaczyłam. Przestała wychodzić z domu, a po kilku miesiącach małżonkowie się wyprowadzili. Wnuki i prawnuki zorganizowały wyprzedaz ich dobytku i to od nich kupiłam niedokończony las, w złotych ramach, który mi się nie podobał, ale który chciałam i nadal chcę mieć.

Mieszkanie 4c zmieniało właścicieli kilkakrotnie. Ostatnio kupiło je dość młode i zamożne małżeństwo z trójką dzieci i psem. On zajmuje się inwestycjami na Wall Street, ona domem i sobą. Dziećmi zajmuje się niania z Dominikany.

Łóżko w mojej sypialni stoi tak, jak stało od zawsze, w linii północ-południe. Budzę się i spoglądam na południe. Nad głową, na północnej ścianie wiszą jeszcze dwa obrazy – szaro-niebieski pastel i portret Zuzy namalowany na Montmartrze, pamiątka wizyty w Paryżu w 1994 roku.



Szaro-niebieski pastel to prezent na szesnaste urodziny Zuzy od Ani Krasieńskiej.

Smutna dziewczyna trzyma w ręku granatowe kwiaty, w tle widzimy stare kamienice przypominające warszawską Starówkę albo rynek w Kazimierzu Dolnym. To wspomnienie z Polski studenta, który spędzał wakacje w posiadłości państwa Krasieńskich w Morris, w stanie Nowy Jork. Student był bardzo utalentowany, cichy, nieobecny i miał coś mrocznego w sobie. Coś go gnębiło: nieudane próby znalezienia przyjacieli? Miłości? Sukcesu? Poczucie bezsensu?

Zostawił po wakacjach kilkanaście przepełnionych melancholią prac i znacznie więcej pustych butelek po wódce. Zniknął. Albo wrócił do Polski, albo dołączył do bohaterów *Antygony w Nowym Jorku* i nadal błąka się po Manhattanie.

Szkoda, że nic o nim nie wiem, oprócz tego, że miał wielki talent.

Dygresja osobista z lat licealnych

Jedynym oryginalnym obrazem w moim rodzinnym domu w Warszawie był olejny krajobraz z ruinami na pierwszym planie, chyba francuskiego malarza. Piszę „chyba”, bo obraz nie był podpisany, ale moja siostra twierdzi (a ona rzadko się myli), że to był Francuz, naśladowca Watteau, z połowy osiemnastego wieku.

Obraz wisiał w domu rodzinnym mojej mamy w Łodzi, a potem w Będzinie i jakimś cudem przetrwał wojnę. Ktoś go odnalazł i oddał.

Nie wiem, kto i jak obraz znalazł i dlaczego tak bezinteresownie oddał.

Akt oddania, jak głosiła rodzinna opowieść, miał odbyć się w latach czterdziestych, tuż po wyzwoleniu, kiedy niektórym jeszcze wydawało się, że zaraz po zwycięstwie będzie tak, jak powinno być.

Czasami wierzę, że takie historie się zdarzają.

No więc ten zaczęty w osiemnastym wieku obraz przedstawiał ruiny wiejskiej rezydencji i utrzymany był w tonacji obrazów Watteau. Pamiętam, że po drugiej stronie płótna malarz też próbował coś namalować.

Olej oprawiony był w ciężkie złote ramy, podobne do ram mojego anonimowego niemieckiego lasu, i pewnie ze względu na te ramy teraz sobie o nim przypominałam.

Mały krajobraz wiejski z ruinami dużego domu na pierwszym planie po śmierci mojej mamy wylądował w piwnicy – nie bardzo wiem dlaczego – a potem zniknął.

Dopiero w dwudziestym pierwszym wieku ze zdumieniem zobaczyłam go w eleganckim salonie na warszawskiej Sadybie, w willi mojej pierwszej miłości z lat szkolnych, kolekcjonera sztuki, bardzo zamożnego człowieka. Nie widziałam ani obrazu, ani ukochanego kilkadziesiąt lat, aż niedawno, kiedy byłam w Polsce, dostałam zaproszenie na kolację do niego i jego żony – bodajże drugiej. Poznałam też ich córkę, która przywitała mnie serdecznie: „Ciociu, ja wszystko wiem”.

I przytuliła się do mnie. Córka była ładna i miła.

Po kolacji, z drinkiem w rękę, odbyło się oprowadzanie po kolekcji. Wspaniałe Kossaki, chyba Grottger nawet, już nie pamiętam innych arcydzieł, bo nagle zobaczyłam nasz rodzinny obraz.

Stanęłam i zaniemówiłam.

– O, ten obraz znalazłem w garażu mojego ojca. Bardzo dziwna historia – powiedział pan domu. – A dlaczego tak się mu przyglądasz? – spytał.

– Bo mam wrażenie, że to obraz z mojego rodzinnego domu. Widocznie ci go dałam.

– No to powinniśmy ci go oddać – rzuciła mimochodem pani domu.

– No ale skoro dałam... – zaczęłam się plątać. Nie przeszło mi przez gardło: „No skoro go zabrałeś”.

Pan domu to podchwycił i dodał:

– Tak, tak.

I na tym się skończyło. Więcej do tego tematu nie wracaliśmy. Tak naprawdę to był obraz nie mój, ale mojej rodziny. Więc następnego dnia nie byłam w stanie zrozumieć, jak ten mój „prezent” – pewnie miałam wtedy szesnaście lat – mógł zostać tak szybko przyjęty.

A niegdyś pan domu był rozmarzonym, ukochanym synem swojej mamy, którą lubiłam, zaczesywał staromodnym ruchem włosy do tyłu i pisał ładne wiersze. Myślałam, że zostanie poetą.

Nigdy więcej tego obrazu nie zobaczyłam.

Nigdy więcej nie zobaczyłam ani pana domu, ani jego córki. Żonę spotkałam na jakimś warszawskim przyjęciu. Była smutna.

Ta historia ma jeszcze jedną pointę. Kilka dni temu, szperając w starych papierach w nowojorskiej szufladzie, znalazłam zdjęcie kilkunastoletniego kolekcjonera sztuki, mojej szkolnej miłości. Na odwrocie zdolny nastolatek własnoręcznie napisał specjalnie dla mnie wiersz.

Wiersz się kończył:

„Czy mówisz coś, a ja nie słyszę?

Czy czegoś chcesz – ja nie wiem co?”

Mhm... Może rzeczywiście nie wie... Może należałoby napisać do niego list z zapytaniem, czy nie wydaje mu się, że powinien nam – mnie i mojej siostrze – ten obraz oddać?